№ 11.

Warszawa, dnia 6/18 Marca 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

PRZEGLĄD SPRAWY WITA STWOSZA

W NORYMBERDZE.

Ktokolwiek był w Krakowie, podziwiał z pewnością arcydzieło rzeźby ołtarza wielkiego w kościele Panny Marji, którego autorstwo długo nieznane nikomu, przypisywane było cudzoziemcom a mianowicie Włochom, jako najgłówniejszym przedstawicielom i miłośnikom Sztuk pięknych. Nowsze dopiero badania i skrzętne dociekania przedsiewzięte przez niezmordowanych badaczy Ambrożego Grabowskiego i barona Edwarda Rastawieckiego, wykryły, iż rzeźbiarzem tyle cennego dzieła, był Wit Stwosz, Krakowianin, urodzony również z mieszczan Krakowskich bardzo starożytnego rodu, wychowany i doskonalony w sztuce w Krakowie, ożeniony z Krakowianką, mający tu własny dom i pracownią, z której szczególniéj miasto swe rodzinne, uposażył nieśmiertelnemi dziełami rzeźby.

Nie ma wątpliwości, że przez współczesnych kronikarzy był znany, bo z licznych dzieł jakie po sobie zostawił łatwo wnieść, że musiał w Krakowie używać dosyć znacznego poszanowania, ale życie publiczne rozwijając się w innych zupełnie warunkach od zachodu i południa, nie miało czasu zaprzątać się tem, co odrywając człowieka od ziemi i spraw tego świata unosi go w krainy najidealniejszych rozkoszy. Dlatego imie Stwosza w żadnéj kronice nie zostało wspomniane i gdyby nie trafem wynalezione nazwisko i wykryte szczegóły w aktach miejskich, wiadomość o nim powzielibyśmy dopiero od niemieckich uczonych, jako o cudzoziemcu czasowo dla zarobku przebywającym w Krakowie.

Rzeźbiarz ten znakomity urodzony za panowania Władysława Warneńczyka, syna Władysława Jagiełły około roku 1440, dożył bardzo późnéj starości bo blisko stuletniéj i z wieku tego większą połowę przeżył w Krakowie. W roku pięćdziesiątym życia swego Stwosz musiał owdowieć, bo nagle wyniósł się do Norymbergi. Na zarobku bowiem jak widziemy, Stwoszowi w Krakowie nie brakowało; o utrzymanie codziennego życia przy własności domu i pracowni troskać się nie potrzebował; nie szło mu także tak bardzo o szczególną jakąś sławę, bo jéj w Krakowie musiał mieć dosyć skoro w nim tyle śladów swojéj pracy zostawił. W prawdzie w roku 1496 w którym Stwosz stale osiedlił się w Norymberdze, był czasem niezmiernego podnoszenia się Sztuk pięknych we

Włoszech, tak że do połowy wieku XVI, doszły do takiéj wysokości na jakiéj nie stały nawet u starożytnych, i to mogło go nęcić do zagranicznych przesiedlin, ale instynkt kobiecy byłby mu z pewnością przeszkodził do spełnienia tego zamiaru, zwłaszcza że trzeba się było wyprzedać z mienia w Krakowie i na nowo dorabiać chleba, którego mu i w ojczyźnie nie brakowało. W wywodzie tym nie idzie nam o wdowieństwo Stwosza, tylko o dowiedzenie, że usunął się z kraju nie z powodu nieuznania lub innych przykrych okoliczności, mogących cień rzucać na ludzi i ówczesną epokę kraju, zwłaszcza że dopełnił tego już po pięćdziesiątym roku życia, tylko że zamiar ten dokonał party siłą swego genjuszu, pragnącego zbliżenia się do miejsc opromieniających pięknem niemal całą ziemię. Wreszcie w aktach miejskich Krakowa jak również w Norymberdze, nie mieści się nic takiego, coby wykrywało inny powód opuszczenia przez niego rodzinnéj ziemi; przypuszczenie więc powyższe zdaje się być zupełnie usprawiedliwione.

W każdym razie spełnienie swego zamiaru opłacił ciężkim zawodem, i nabawił zgryzot jakie go już nie opuściły do końca życia. Pracy mu rzeczywiście po zamieszkaniu w Norymberdze nie brakowało, bo według współczesnego biografa jego Neudoerffera, pomiędzy wielu innemi, wykonał dla króla Portugalskiego Adama i Ewę w naturalnéj wielkości, z drzewa i farb takiego wejrzenia i kształtu, że zdając się być żywemi, każdego kunsztownością swą zachwycają. Zrobił także ołtarz w kościele Panny Marji: Pozdrowienie Anielskie z pająkiem i drugie w płaskorzeźbie: ołtarz w kościele kaznodziejów, trzy krucyfiksy i mappę, wykonaną wypukle na drzewie, wyobrażającą wyniosłe góry, miasta, lasy i w nizinach płynące rzeki. Prace te i mienie wyniesione z rodzinnéj ziemi, widać że go doprowadziły do znacznéj zamożności, kiedy mógł nawet kłaść pieniądze w handlowe interesa, które mu przysporzyły strasznych kłopotów na resztę żywota. Rzecz się tak stała. Wit Stwosz dał kupcowi Banerowi złotych tysiąc na wspólne prowadzenie handlu. Po upływie pewnego czasu Baner zwraca Stwoszowi włożone pieniądze z zarobkiem złotych trzystu czyli razem złotych 1,300 wypowiadając dalszą wspólkę, i radzi oddać kwotę tę Startzedelowi do dalszych nią obrotów. Stwosz usłuchał rady, pieniądze oddał nowemu przedsiebiercy, ale ten natychmiast uciekł razem z powierzonym sobie kapitałem. Był to wyraźny podstęp, wspólnie z Banerem ułożony, gdyż Startzedel był winien Banerowi złotych 600 i przed ucieczką wypłacił mu takowe co do grosza. Oszukany tak haniebnie Stwosz, obwiniając o wspólnictwo bardzo zasadnie Banera i tym sposobem uważając go jako swego wierzyciela, napisać miał według ówczesnych cudzoziemskich relacji, sam rewers do pisma Banera podobny, i zrobioną przez siebie pieczęcią wycisnął na nim jak tego zwyczaj wymagał. Czyn taki jeżeli rzeczywiście miał miejsce, zapewne że nie dałby się uniewinnić jako zawsze godny kary i potępienia, ale jest niemal pewność, że nie miał miejsca, jeżeli rozważemy pilnie cały przebieg téj zawiłéj i szkaradnéj sprawy.

Najdawniejsi bowiem o sztuce miasta tego norymbergscy pisarze, mówiąc o Stwoszu, wynoszą jego biegłość, wysoko podnoszą zalety moralne, wszędzie mianują mistrzem, ale jakby wstydzili się nieszczęścia artysty i następnych prześladowań rady miejskiéj, nie wspominają nic o przestępstwie Stwosza, chociaż wiązana z tąd sprawa wiele miała rozgłosu i bardzo się długo ciągnęła. Biograf jego Neudoerffer powiada, że Stwosz do końca życia żył bardzo umiarkowanie i wstrzymywał się od wina. W aktach rady miejskiéj głównéj i niezmordowanéj jego prześladowczyni do końca żywota, znajduje się określenie Stwosza, że jest stateczny, pilny i życzliwy, którego rozum i robota po wszystkiem - chrześcijaństwie z pochwałą słynie. Czyż więc podobna przypuścić, aby człowiek umiarkowanego życia, a więc mało potrzebujący, przytem stateczny i rozumny mógł się dopuścić czynu prostego oszustwa? Zresztą z Banerem prawował się wprzódy przez dwa lata blisko, po upływie których dopiero nagle wytoczono mu proces o fałszerstwo, dlaczegóż tego nie zrobiono zaraz, jako przecinającego odrazu proces i wykazującego niewinność jednej strony a niegodziwość drugiej? Można dosyć zasadnie przypuścić, że Baner w obronie musiał się wikłać, że sprawa jego zaczęła się chylić ku przegranej i że wtenczas dopiero wystąpiono z zarzutem nowo wynalezionym, kiedy właściwie mogli a nawet powinni byli odrazu go przedstawić sądowi przy rozpoczęciu procesu. Że Stwosz zaprzeczał dopuszczenia się tego czynu, najlepiej świadczą akta miejskie, w których mieści się zapiska, nakazująca Stwosza związać, pogrozić i osadzić na kamień, czyli wziąść po prostu na turtury, czego we dwa tygodnie późniéj, powtórnie znowu dopełniono. Widać więc że w pierwiastkowem badaniu zaprzeczał dopuszczenia się czynu, i że dopiero ulegając męczarni i to dwa razy ponawianej, przyznał się do tego o co go posądzano. O niewinności jego i współcześni musieli być przekonani, kiedy za obwinionym wstawiał się do Rady, biskup Wircburgski i jakiś szlachcic zapewne przez niego przysłany, jak to wskazują akta miejskie, ale Rada widocznie nieprzychylna Stwoszowi odpowiedź zwlekła, i wydała wyrok skazujący go za fałszerstwo na piętnowanie na obu policzkach, co też zaraz w dniu 4 Grudnia 1503 roku wykonanem zostało.

Kronikarz Deichsler opisując całą sprawę, powiada że nigdy jeszcze nikogo tak lekko nie piętnowano, chciano bowiem Stwoszowi oczy wypalić, złagodzenie więc tak niezwykłe wyroku, jasno wykazuje, że Rada działała pod naciskiem przychylnej dla niego opinji, że ta opinja musiała bardzo przemawiać za jego niewinnością i że Rada odstąpieniem od przepisu prawa, starała się wywikłać z trudnego swego położenia. Nadto w wyroku, nakazano odebranie od Stwosza przysięgi o niezasłużonem prześladowaniu że do końca życia nie wydali się z Norymbergi, czyż do tego zastrzeżenia nie łączy się obawa, stracenia tak znakomitego artysty, jakiego posiadanie dziś a tymbardziéj w ówczas wielką stanowiło chlubę? Rada robiąc w aktach zapiskę o ukaraniu Stwosza, nazywa go wielkim kunstmistrzem i rzeźbiarzem, talent więc jego umiała oceniać, a przymusem zatrzymując go w mieście, przypuszczenie powyższe bardzo usprawiedliwia. Wygnanie bowiem przestępcy z miejsca zamieszkania, uważanem było zawsze w najgłębszéj starożytności za karę, dlaczegóż więc zastrzeżono sobie wieczny pobyt Stwosza w Norymberdze i pilnowano tego z największą pilnością i bezwzględnością? Albo więc zazdrość o posiadanie tak sławnego rzeźbiarza

spowodowała to zastrzeżenie, albo obawa, aby pod obcą opieką, niegodziwość Rady nie została dowiedzioną. W każdym razie, stanowiło nowy dowód niewinności Stwosza, bo zbrodniarza zwykle wypędza się a nie zatrzymuje.

Po wykonaniu tak hańbiącego wyroku, sprawa jednak nie skończyła się, i oprócz dochodzenia należytości wystąpiono przeciw Radzie w dochodzeniu wyrządzonéj Stwoszowi krzywdy. Szczególniej czynnym w tem działaniu był zięć Stwosza niejaki Grzegorz Trumer, który lękając się prześladowania Rady umknął z Norymbergi i znając niewinność Stwosza pobudził do wdania się marszałków dziedzicznych księztwa Heskiego dwóch braci Reitesel, hrabiego Hanau a nawet samego księcia Wilchelma Landgrafa Heskiego. Rada pojmując ważność takiej opieki, zdawała obszerne sprawozdania, wykręcała się jak mogła, nie przekręcając jednak prześladować Stwosza i wystawiając go jako największego zbrodniarza i bezbożnego burzyciela. A wdanie to nieograniczyło się na jednem wystąpieniu, ale ciągnęło się potem przez długie lata, bo jeszcze akta z r. 1527, a więc we dwadzieścia cztery lata po wykonaniu wyroku obejmują ślady i zapiski, że sprawa przeciw Banerowi, a raczéj przeciw nowym jego wspólnikom toczyła się, bo główny sprawca już nie żył, i że ciągle tak wysocy protektorzy ujmowali się za niewinnością Wita Stwosza. Nie podlega więc wątpliwości, że tylko przekonanie o niezasłużonem prześladowaniu mistrza, mogło pobudzać tak znakomite osoby do wdawania się czynnego za pokrzywdzonym, co z pewnością nie miałoby miejsca gdyby wina jego była pewną i dowiedzioną.

Tak wytrwałemi w dochodzeniu sprawiedliwości, i umiejącemi zyskiwać wysokiego znaczenia protektorów, mogą być tylko niesprawiedliwie pokrzywdzeni i pewni swéj niewinności: prawdziwy przestępca choćby nawet był Witem Stwoszem, zużyłby się z pewnością, i po pierwszych wystąpieniach zaprzestałby dalszych kroków. Czy tak mistrz dręczony przez drugą połowę swego życia nie zwracał się czasami myślą do miasta, które porzucił i skazał się na dobrowolne wygnanie? Kroniki o tem milczą, ale nie ma wątpliwości, że żal po niewczasie musiał często szarpać zbolałą duszę prześladowanego artystę, jakby za karę zaparcia się i zapomnienia.

Józef Dzierzkowski.

(Wspomnienie).

Żaden z koryfeuszów literatury beletrystycznéj nie nasłuchał się o sobie tylu za życia zdań sprzecznych, co Józef Dzierzkowski. Względem wielu gwiazd świetnych, a ileż mu przecież w blasku ustępujących, krytyka i publicystyka nasza zachowywały się z pewnym respektem, kiedy niekiedy tylko pozwalając sobie małéj wycieczki. W utwory Dzierzkowskiego krytyka i publicystyka waliła jak taranem w twierdzę nieprzyjacielską, nieszczędząc autorowi ani wyrzutów, ani gorzkiéj przymówki, ani sarkazmu.

Dziś w obec świéżéj mogiły jakże podzielone stoją zdania, jaki haos w ocenieniu? To co o Dzierzkowskim powiadają nasze pisma Warszawskie jest już słabém jak echo, odbiciem sądu pism Lwowskich, gdyż Galicya i jéj społeczność były polem zapasów i wystąpień Dzierzkowskiego. Zobaczmy te najświéższe sądy, które każdy po skreśleniu pobieżnego życiorysu sformułować się stara. Pan Wacław Szymanowski w Tygodniku Illustrowanym tak mówi.

„Można powiedziéć iż była to jedna z tych wysokich zdolności (Dzierzkowski) jakie się u nas zbyt często w ostatnich pojawiały czasach, co rozdrobniła złoto swego talentu na mnóstwo zdawkowéj monety, mającéj wprawdzie także swoją wartość, ale *zdawkową* tylko.“ Korrespondent Lwowski tegoż pisma pisze:

„Dzierzkowski był pisarzem wielkich zdolności, *na nieszczęście niepopartych pracą i rozleglejszemi studjami. Burzliwy żywot* jaki do ostatka prowadził, nie dozwalał mu oddawać się naukom. Jako publicyście nie dostawało mu znajomości przedmiotów niezbędnych i t. d.“

A wyżéj tenże korrespondent gdy mówi o powieściach Dzierzkowskiego odzywa się.

„Chcąc kreślić wady pewnych warstw społeczeństwa, brał często żywe wzory i z wiernem w powieści rysował je podobieństwem, iż zamiast stwarzać typy *zniżał się do paskwilu, co ujmowało wartości pismom jego*.“ Na niedługo przed śmiercią Dzierzkowskiego, pan Lewestam napisał: „Już w ostatnich drobniejszych nawet utworach, autor nasz, który dotąd życie zwykł malować takiém, jakiém je widział przez pryzmat poetycznéj swéj natury i młodzieńczego zapału, coraz bardziéj wchodzić zaczął na śliską drogę tworzenia tendencyjnego. Że tendencje jego były szlachetne łatwo się każdy domyśli, ale i najszlachetniejsze samą już swoją rozmyślnością, zawsze zranią kogoś, nie mniéj może szlachetnego, zwłaszcza gdy występują już z pewną ostentacją jaskrawości. *Co do nas wszelako i pod tym względem usprawiedliwiemy w zupełności* Dzierzkowskiego, podzielamy bowiem zdanie tych, którzy w gwałtownych chorobach nie zwykli oszczędzać środków gwałtownie heroicznych, a wiemy że w owéj właśnie epoce buta szlachecka w Galicyi do tak nieznośnych doszła rozmiarów, że elektryzując w niéj żywe ciało, Dzierzkowski właśnie *wzniósł się wysoko nad stanowisko pisarza prowincjonalnego*. Pomimo więc licznych nieprzyjaźni, jakie wywoływała przeciw niemu taka śmiałość nie brakło z innych stron zachęty i uznania.“

To co mówi w końcu p. Lewestam jest szczerą prawdą; obrażona miłość własna nie wahała się używać wszelkiéj broni, a nawet rzeczywistego im innego paskwilu, aby tylko dosięgnąć... człowieka? nie! autora, pisarza ludowego. Bo Dzierzkowski był pisa-

rzem ludowym, nie w tém znaczeniu ograniczoném, gdy działalność pisarska skupia się w celu przygotowania elementarnych podręczników do nauki dla ludu, ale w szerokiém, tendencyjném, jeśli się komu podoba tak nazwać, kiedy autor podnosi się do wysokości kwestyi społecznéj, obejmującéj całą ludzkość. Dzierzkowski w swoich utworach: Salon i ulica, Dwaj bliźnięta, Znajda, król Dziadów i t. d. stawiał kwestję tak jak się sama stawia, niestety bez tranzakcyi między stronami, i bronił téj która słabsza a co więcéj po stronie któréj leży sprawiedliwość. Najważniejszym zarzutem jaki z powyżéj zacytowanych zdań wynika, pomijając to co osobistości Dzierzkowskiego dotyczy, jest ten, iż tendencja artyzmowi pism jego wartości ujmuje. Niemożemy tego zdania uznać za słuszne.

Tendencja utworów Dzierzkowskiego jest wynikiem cząstką życia społecznego, a sztuka czyż ma być od tego życia oderwaną, czyż w swoich warunkach nie może objąć wykwitu działalności społecznéj? Nam się zdaje, że właśnie w kreacyi najznakomitszych utworów dopatrzyć się można tendencyi, owego pulsu życia który czyni te utwory tak wpływowemi, tak nęcącemi dla spółczesnych i potomnych. Nie można zaś winić pisarza, iż wprowadza do swych utworów tendencje, które w jego czasie poruszają serce ludzkie lub stają się kwestją społeczną.

Równość moralna płynąca z własnéj zasługi jest dla sztuki tak dobrą jak podniosłość cnoty w obec występku. Nie jéj zaś wina że to poczucie zaświeciło ludzkości późniéj niż pojęcie cnót moralnych, które uznanie w dziedzinie sztuki od wieków znalazły. Lecz przeciwnicy powieści Dzierzkowskiego wołają: po cóż ten pisarz ludowy w swych utworach maluje pewne wybitne osobistości, to paskwil, to skandal! Zapewne byłby to paskwil, skandal trudny do przebaczenia gdyby utwory te stanowiły tylko fotografję wierną osobistości. Lecz czyżby w takim razie mogły obudzić tak szeroki interes, tak powszechne zajęcie. Pod tak szeroką tendencją jaka bije z utworów Dzierzkowskiego, czyż dałyby się podstawić karłowate figurki pojedynczych osobistości? Nie wińmy zaś artysty iż ktoś w pierwowzorze siebie zobaczy.

Spółcześni zarzucali Aristofanesowi iż czepia się i maluje w swych komedjach osobistości; Moljer znosił prześladowanie za swego Skąpca, Świętoszka. A czyż te utwory są dla nas paskwilem? W dziełach sztuki badajmy nie przelotnéj, ale stałéj ogólnéj prawdy!

Pozostaje nam jeszcze wspomniéć kilka słów o życiu Dzierzkowskiego. Urodził się w Ksawerowie (1807 r.) w Gubernii Wołyńskiéj. Kto pragnie wybitniéj poznać wspomnienia jego dzieciństwa niech odczyta obecnie drukujący się w Tygodniku Ilustrowanym utwór jego p. t. *Wykradzenie Panicza*. Od ósmego roku życia przebywał we Lwowie, gdzie obszerne stosunki towarzyskie stryja ułatwiały mu wstęp wszędzie i pozwalały na studjowanie społeczności wszechstronne. Na młodość Dzierzkowskiego przypadł okres rozkwitu literatury we Lwowie. Młode talenta Borkowskich, Bielowskiego, a późniéj Magnuszewskiego, Boguckiego ukazały się jednocześnie wywołując ruch literacki. Dzierzkowski czynny, energiczny rzucił się na pole powieści i wykazał w niéj całą dzielność swego pióra. *Płacz i śmiech Powieści z życia codziennego*, *Suknia balowa*, *Salon i ulica* oraz inne późniejsze, któreśmy wyżéj wymienili znane są zapewne naszym czytelniczkom. W końcu już swego zawodu rzucił się na pole piśmiennictwa dziennikarskiego i podtrzymywał własną pracą kilka pism którym potrafił nadać barwę, życie i interes. Zmarł dnia 10 Stycznia r. b. Wizerunek jego mieści Tygodnik Illustrowany i kalendarz Jaworskiego; najobszerniejsze zaś i najlepsze ocenienie pism znajduje się w Bibliotece Warszawskiéj w 1860 r. przez A. A. Krajewskiego dokonane.

---

* * *

Tego roku gminne wróżebne przypowieści dotyczące zmian pory zimowéj jakoś niedopisały. Powiadają, że na Ś. Walka, łamie się pod lodem balka, tymczasem choć to trzeci tydzień schodzi, Wisła stoi jak mur przerzynana w różnych kierunkach rojem przechodniów, i wozów uprzątających materjały z rozbieranego mostu przy nowo wystawionym. Na Ś. Grzegorza zwykle chodziły rzeki do morza pokryte łamiącą się krą, tymczasem minął dzień 12 b. m. a rzeki nie pomyślały nawet o téj corocznéj podróży. Oblubieniec pogodny ma dać rok urodny daj Boże aby dopisał, w snopy, ziarno a piękne, plenne i płacone choćby po pół setku złotych za korzec. Wyższa cena tego głównego wywozowego produktu, pokrzepi wszystkich, a choć chléb troszkę zdrożeje, to podniesie się cena zarobku, i wyrobnik zamiast straty zysk odniesie.

Jeden tylko Ś. Maciéj co wierny słowu, na zmartwienie wszystkich, ubogacił zimę, i dlatego prawdzi się wróżba, że gdy Ś. Maciéj lodu nie stopi, to długo w ręce chuchać będą chłopi. Ale chuchają i Warszawiacy, brnąc w śniegu po kolana i chowając nosy w pierzaste futra nazwane przez jakiegoś dowcipnisia zimnochronami. Mając już deszczochrony i słońcochrony, gdyby ktoś wynalazł biédochrony, stałby się prawdziwym dobroczyńcą ludzkości. Wprawdzie dobroczynność publiczna uorganizowana w stałą Insty-

tucję, jest niejaką ochroną i ratunkiem dla biédy i nędzy, ale są wyjątkowe położenia, w których działanie jéj nie może odpowiadać rzeczywistéj potrzebie i zasłudze.

Pisząc to mam na myśli, zamierzony koncert na dochód artysty tutejszego, nauczyciela i kompozytora p. Józefa Nowakowskiego, obecnie złożonego ciężką chorobą. Artysta ten urodzony w r. 1800 już w trzynastym roku życia, grał na fortepjanie, skrzypcach i śpiewał na chórze w klasztorze Cystersów w Wąchocku, póżniéj kształcił się w Warszawie biorąc lekcje kompozycji od Elsnera, w roku 1833 występował publicznie w Paryżu, a ostatecznie był nauczycielem w Instytucie muzycznym. Kompozycje jego składające się z dzieł na sam fortepjan, orkiestrowych, kościelnych, kwintetów, kwartetów, symfonji, uwertur, różnych piosnek i muzyki tanecznéj, są znane wszystkim, a niektóre do wielkiego doszły upowszechnienia. We wszystkich jaśnieje oryginalność myśli, gust niepospolity, a szczególniéj urok uczucia rodzinnego co pieści, zachwyca i niemal czaruje słuchacza. Dziś po kilkudziesiąt-letniéj ciężkiéj i mozolnéj nauczycielskiéj pracy, Szanowny Artysta uległ niemocy i niedostatkowi, bo praca dawała mu chléb codzienny, a téj przeszkodziła obłożna choroba. Przyjaciele i znajomi idąc w pomoc w tak ciężkiém nieszczęściu, postanowili wspomódz upadłego na siłach artystę, urządzając koncert na wyłączną jego korzyść. Warszawa jestem pewny, nie odmówi współudziału i liczném zebraniem odpowie na położone w niéj zaufanie.

Każda bowiem troska jest boleścią, ale stokroć większą gdy obarczy człowieka w póżnym wieku o potrzeby codziennego życia. Jaka szkoda że w tak pięknéj myśli wsie nie mogą wziąść współudziału, że nie mamy stowarzyszenia literatów i artystów, w celu wspierania podupadłych pracowników na tém dotąd u nas jeszcze niewdzięczném polu pracy. W każdéj innéj służbie wysłużona emerytura lub wzgląd prywatny, ratują zestarzałego biédaka, artysta, literat, nauczyciel prywatny, póki silni, zdrowi i machający smyczkiem, pędzlem lub piórem, dopóty znośnie im się dzieje, dopóty są chwaleni i pożądani. Ale z odrętwieniem ręki, z przygarbieniem pleców, z ołysieniem i osiwieniem, dekoracja się zmienia, po kilku czułych westchnieniach, litościwych napomknieniach, zużyty pracownik idzie w zapomnienie, i bardzo często podziela los skórki od cytryny, po wyciśnięciu z niéj soku. Taka to natura ludzka; nowość, ciągła zmiana i pożądanie czegoś nowego, jéj cechą i żądzą. Gniewać się jednak o to, bardzo nie można bo widać że ludzie takiemi byli od wieków, skoro wymyślili przypowieść o nowém sitku idącém na kołek, ale znając złe winniśmy zapobiegać, aby się w sercach naszych bardzo nie rozwielmożniało, przynajmniéj co do żyjących.

Smutna ta dola artystycznych wyrobników, jest następstwem mało u nas rozwiniętéj miłości pola na którém pracują. Gdzieindziéj książki w krociowych rozchodzą się egzemplarzach, i to nie raz ani dwa razy, ale po dziesięć i trzydzieści edycji, u nas sprzedaż tysiąca egzemplarzy jakiego dzieła już się liczy do wybornych księgarskich spekulacji, potrzebę wydania drugiéj edycji roztrębują ledwo że nie na rogach ulic, przechwalając się niém jak białym krukiem. W Niemczech nie ma miasteczka, któreby nie posiadało stowarzyszenia śpiewaków, na każdéj uroczystości, na przechadzce i zabawie brzmi pieśń i muzyka. Przed kilku laty podobne stowarzyszenie zawiązało się i u nas pomiędzy niemieckiemi rzemieślnikami. Dwa razy na tydzień schodzili się dla nauki do jednego z ogródków piwnych, a chociaż pod przewództwem nauczyciela, więcéj śpiewali jak pili, choć głosy nie zalecały się bardzo ani świéżością ani szczególnym dźwiękiem, śpiew jednak ich ogólnie bardzo miłe robił wrażenie i licznie ściągającym się słuchaczom niezmiernie podobał. A ile między temi śpiewakami, było żartu, szczególniéj przy wyrwaniu się jakiego solowego głosu w miejscu niewłaściwém: ile wesołości kiedy w żartobliwéj pieśni kanonowym ułożonéj sposobem, głosy i porządek pomięszały się jak groch z kapustą, tworząc komikę jakiéj nie posiada najdowcipniejsza komedja! Wówczas chór kończył się ogólnym wszystkich śmiechem w altanie między śpiewakami, w ogródku między słuchaczami, śmiały się posługujące dziewczęta, śmiał się parobek przy beczce, szwajcar przy bramie, gospodarz za bufetem, a nawet cała kuchenna służba, wychylając ciekawie głowy przez okna. Czasami znowu, przy zabrzmieniu pieśni poważnéj cóś w rytmie kościelnym, uroczysta cisza zalegała cały ogródek, jakby każdy myśl zagłębił w sobie, i szperał w najtajniejszych zakątkach duszy. Słowem była to zabawa, jakiéj piękniejszéj wymyślić nie można, a należeli do niéj prości rzemieślnicy z najtwardszych rzemiósł, bez żadnego wyższego wykształcenia, nie żałując miesięcznych składek na zapłatę nauczyciela, kupno nut i rozpisywanie tychże na głosy. O zbawiennym wpływie moralnym takiéj zabawy, nie ma się co rozszerzać; przedewszystkiem niszczyło nadużycie trunku, ograniczając picie do zaspokojenia rzeczywistego pragnienia. Umysł bowiem podniesiony pieśnią nie potrzebował sztucznego bodźca, a nawet robił go wstrętnym i niemiłym, serce zaś szlachetniało rozwojem najdelikatniejszych uczuć, pobudzanych harmonijną melodją wyższą jak powiada poeta nad wszystkie talizmany, bo jéj język świat i niebiany rozumieją.

Kronika literacka.

Sielanki i kilka innych pism polskich Szymona Szymonowicza. Wydanie Stanisława Węclewskiego. Chełmno 1864 r.

Drugiém z rzędu przygotowaném przez Pr. Węclewskiego wydaniem dzieł pisarzy z Zygmuntowskiéj epoki, są Pisma Polskie Szymonowicza. Poeta ten nierównie jest zrozumialszy od Klonowicza, a raczéj Sielanki jego daleko przystępniejsze ogółowi czytelników od Flisa, ztąd i objaśnień tu mniéj może nawet za mało, ale zdaje się że książka przeznaczona jest raczéj służyć za podręcznik dla pracujących specjalnie w tym przedmiocie. Natomiast strona porównawcza jak najsumienniéj obrobiona. Z badań w tym przedmiocie dowiadujemy się, że w całym zbiorze Sielanek Szymonowicza, zaledwie kilka jest prawdziwie oryginalnych, resztą zaś albo naśladowana z pisarzy Greckich, albo nawet całkowicie lub częściowo przekładana. Rzecz to mniéj dziwna u poety, który prawie wyłącznie pisał po łacinie, i tylko na starożytne wzory patrzał. W zbiorze tym, napotykamy prócz Sielanek, inne jeszcze nie znane dotąd ogółowi poezje polskie Szymonowicza, których ocalenie od zagłady, z wielką dla literatury krajowéj zasługą, zawdzięczamy uczonemu Bielowskiemu. Są to wszystko bardzo piękne rzeczy, i co większa, ściśle oryginalne. Daléj idzie kilka ciekawych listów poety, z czasu kiedy się krzątał około założenia Akademji Zamojskiéj. Z tych jeden mieści w sobie podziękowanie sławnemu poecie Stanisławowi Grochowskiemu, za przysłanie egzemplarza *Łez smutnych* poświęconych pamięci Wielkiego Kanclerza. Kończy zbiór pism Szymonowicza obszerny życiorys poety, stanowiący prawdziwą ozdobę dzieła. Prostuje w nim autor nie jedno błędne dotąd mniemanie, dowodząc między innemi: że Szymonowicz nigdy nie był księdzem, ani też znowu nieodstępnym towarzyszem Zamojskiego na potrzebach wojennych, jak również: że nieprawdą jest, jakoby miał być kiedy uwieńczony w Rzymie. Za to rozbiera nader szczegółowo najmniéj nawet znane dotąd utwory łacińskie Szymonowicza, i kończy treściwą charakterystyką jego znaczenia w literaturze. Taką jest ta druga praca prof. Węclewskiego. Daj Boże więcéj podobnych, a doczekamy się w krótce, że i żądaniom nadążyć będzie nie łatwo. Prace bowiem tego rodzaju stwarzają czytelników, a czytelnicy wymagania coraz nowe. Nie chcielibyśmy za nic w świecie być fałszywym prorokiem, inaczéj z chęcią podjęlibyśmy się prorokować przeciwnie, byle się tylko sprawdziło nam na przekór.

J. Z.

M O D Y.

Paryż dnia 10 Marca 1865 r.

W tych dniach ukazały się w Paryżu, nowego rodzaju okrycia, niepodobne ani do paletotów, ani do burnusów, słowem zupełnie oryginalne. Są to płaszcze krajane kulisto, z tyłu odcinane w stanie, ze spuszczonemi przodami, długie i powłóczyste. zwane *Houppelande*. Płaszczyki te nie odznaczają się praktycznością, dla tego też nie upowszechnią się nigdy. Służą one tylko za ranne ubranie do powozu, gdyż podciągać ich w górę nie podobna. Widzieliśmy taki *Houppelande* w kolorze dziko popielatym, *(gris poussière)*, z lekkiego sukienka, podwatowany i podbity pikowaną materją fijołkową. Plecy przystające zupełnie do figury odcięte były w stanie. Od tego miejsca spadały cztery głębokie fałdy przytwierdzone dwoma guzikami, i węzłem z pasmanterji. Od tego węzła szły dwa sznury długie przeszło na łokieć, przytwierdzone z tyłu płaszczyka, w niejakiéj odległości, i odznaczające jakby kieszenie, zakończone wielkiemi kwastami. Pasmanterje były tegoż samego koloru jak płaszczyk. Przody spuszczone wolno, roztwierały się w podłuż, niczem u brzegu nie objęte. Po bokach naszyte były nie wielkie kieszonki, obszyte w koło fijołkową aksamitką z pod któréj spadała sznelowa frendzla. Rękawy ścięte do łokcia nie szerokie, kończyły się u ręki mankietem obłożonym aksamitką. Mała pelerynka, z tyłu ścięta czworograniasto, dochodząca prawie do stanu, z przodu zakończona w chusteczkę, obszyta aksamitką i frendzlą, dopełniała całości. Z pod otwartych do ziemi przodów, wychodziła takaż sama spódnica korcikowa obszyta u dołufrendzlą, szeroką na pół ćwierci, nad którą szła szeroka na cal, fijołkowa aksamitka.

Suknie wycinane u dołu w zęby ciągle się utrzymują. Widzieliśmy kilka takich, zasługujących na szczegółowy opis.

Suknia popielata *gris de fer* popelinowa, miała u dołu ostre zęby, obłożone pliską z materji szafirowéj. Z pod spodu wychodziła szafirowa jedwabna jedwabna falbanka, fałdowana w odstępach, tak że koniec zęba przypadał na każdy odstęp, przytwierdzony szafirowym guzikiem. Stanik z szeroką a nie długą baskiną (na kształt dawnych staników francuzkich), spięty na szafirowe guziki, miał baskinę wyciętą w zęby z pod których spadała falbanka. Rękawy zwyczajne, ścięte do łokcia, przybrane były odpowiednim mankietem i naramiennikiem.

Do téj sukni przygotowany był kapelusz atłasowy w kolorze popielatym naciągany w podłuż. Diadem z kwiatów szafirowych, pukle z szafirowéj aksamitki spadające na warkocz, i szafirowe szarfy dopełniały ubrania.

Inna suknia z ciężkiego wyrobu wełnianego, w kolorze ciemno orzechowym, wycięta była u dołu w okrągłe zęby, naszyte z wierzchu, falbaneczką czarną, jedwabną, wązką zaledwie na dwa palce. Stanik z szeroką baskiną spięty na rząd czarnych szmuklerskich guzików, zakończony był u dołu zębami i falbaneczką.

Trzecia suknia popelinowa szara, miała nad obrębem szeroką plisę kaszmirową błękitną, przeszywaną ukośnie pletnią z czarnéj pasmanterji. Miejsce stanika zastępowała biała fularowa koszulka przypasana szerokim pasem kaszmirowym niebieskim, z długiemi końcami, zdobnemi czarną pasmanterją. Na wierzch szedł kaftanik błękitny kaszmirowy wyszyty do koła w drabinkę, klapkami z pasmanterji czarnéj.

Podobał nam się téż bardzo szlafrok ranny kaszmirowy koloru ciemno orzechowego. Miał on kształt kulisty, wolno przystający do figury. Przody obłożone były z obu stron szerokim jasno szafirowym kaszmirem *(bleu de France)*. Przez owe plisy przechodziła czarna aksamitka naszyta w drabinkę z wypuszczonemi z obu stron pukielkami. Pelerynka, mankiety u rękawów i kieszenie odpowiednio były przybrane.

Do staników okrągłych uważaliśmy ładne pasy skórzane, wyklejane aksamitem czarnym lub kolorowym, na tym aksamicie dane są rzędem srebrne pszczoły lub lilje, (są to godła Napoleonistów i Burbonistów). Klamerki do tego także pokryte aksamitem. Pas ma szerokości pół ćwierci łokcia.

Ozdoby stalowe niewychodzą z mody, mnóstwo widać stalowych kolczyków, broszek, guzików, mięszanych z lawą lub bez lawy. Noszą także stalowe krzyżyki na aksamitce naszywanéj w rzucik paciorkami lub blaszkami ze stali.

Biżuterje jednak koralowe należą do najmodniejszych, z tąd korale do wielkiéj doszły ceny. Naszyjniki z wielkich paciorek lawowych i z kryształu rzniętego w różnych kolorach powszechnie też używane.

Nowości Zagraniczne.

Petit courrier des dames. W przybraniu sukien, panuje wielka rozmaitość. W ogóle jednak suknie z cokolwiek cięższych materji, obywają się bez żadnego garnirunku. Widzieliśmy właśnie kilka sukien *poult de soie*, w cieniutkie aksamitne paseczki, tło w nich było czarne, paski pomarańczowę, fijołkowe lub jasno-szafirowe, sznur jedwabny gładko naszyty u dołu, stanowił całą ich ozdobę. Lżejsze suknie zdobią falbankami, wstawką gipiurową naszywaną w różne wzory, aksamitką, galonkiem perskim, lub pasmanterją.

Między innemi zwróciła uwagę naszą suknia z gładkiéj materji orzechowéj (marron). U dołu naszyta była dwa razy aksamitką czarną wązką na palec. Z pod niższego rzędu aksamitki, wychodziła wązka gipiura czarna, przerabiana pacioreczkami z lawy. Przez wyższy rząd aksamitki przechodziły w odstępach, kwadraciki ukośne z czarnego aksamitu, otoczone w koło gipiurą. Stanik przez środek przybrany był takiemiż kwadracikami, które zastępowały miejsce guzików, u rękawów na epoletach i mankietach powtarzał się tenże sam garnirunek.

Guziki stanowią główną ozdobę wiosennych sukien przeznaczonych do mniejszego ubrania. Najmodniejsze są stalowe rzeźbione w deseń, lub też nabijane raz koło razu rzniętemi stalkami. Używają także guzików srebrnych, lub z konchy perłowéj. Do popielatych sukien ładnie odpowiadają guziki oksydowane. Wszystkie w ogólności, mają wielkie rozmiary.

W układzie włosów, wielka panuje rozmaitość. Sławny fryzjer Seigneur wymyślił nowy rodzaj ubrania głowy. Nad czołem idą małe nioby z karbowanych włosów, nad tém przeciąga się warkocz podniesiony w górę, najgrubszy nad czołem, zwężony po bokach. Z tyłu spadają nie zbyt długie koki plecione, pomięszane z krótkiemi loczkami. Włosy blond posypują pudrem tegoż koloru. Do wieczornego strojnego ubrania używają złotego pudru.

W magazynie pani Carpentier, niedawno otworzonym, widzieliśmy wiele gotowych sukien, odznaczających się dobrym gustem i prostotą. Opiszemy kilka z nich szczegółowo.

Suknia jedwabna czarna wycięta była u dołu w spiczaste zęby, obłożone aksamitką czarną. Z pod tych zębów spadał wolancik fałdowany, szeroki na ćwierć łokcia obszyty brzegiem trzema rzędami wązkiéj aksamitki. Stanik spinał się na czarne aksamitne guziki z przodu miał bawet, z tyłu spadała szarfa związana na kokardę z długiemi końcami, wyciętemi u dołu w zęby. Rękawy wązkie, ścięte do łokcia, przybrane były u ręki aksamitką i aksamitnemi guzikami.

Druga suknia popielata morowa bez żadnego garnirunku. Stanik pod szyję spięty na szmuklerskie guziki miał bawet tak z przodu jak i w tyle. Wązkie rękawy, ozdobione były epoletem z pasmanterji, koloru popielatego, i takimże mankietem u ręki.

Trzecia suknia, jasno szafirowa z lekkiéj materji, w białe cieniuchne paski, obszyta była u dołu grubym sznurem z pasmanterji w szafirowym i białym kolorze. Sznur ten na każdym zszyciu brytów, podnosił się w górę, i oznaczał kokardę. Stanik pod szyję z baskiną, spięty na szmuklerskie guziki, przybrany był u dołu, szafirowemi i białemi grelotkami. Rękawy miały odpowiednią ozdobę u ręki i na epoletach.

Do codziennego ubrania, noszą zawsze kaftaniki

Zuawskie z kaszmiru czarnego naszyte galonikiem perskim. Taki sam galonik powinien zdobić spódniczkę, która może być odmiennego koloru niż kaftanik. Pod zuawkę noszą kamizelkę aksamitną czarną, lub koszulkę z białego kaszmiru albo fularu.

La Mode Illustreé. Kapelusze tegoroczne mają kształt małych fanszoników, aksamitnych lub atłasowych. Z pod tych fanszoników na tył głowy spada blondyna lub koronka czarna, buffy z illuzji przepinane pukielkami ze wstażki, a niekiedy i pióro. Do tych wszystkich ozdób, dodają jeszcze dwie spadające wstążki długie blisko 7 ćwierci. Przód ronda gładki, podpięcie niskie, cała ozdoba skierowana na tył głowy. Pod kapelusz kładą na warkocz siatkę sznelową, stosownego koloru.

W czepeczkach nie widziémy wielkiéj zmiany, noszą tylko dwa rodzaje: czepeczki okrągłe spadające na tył głowy na kształt siatek, i katalanki. Jedne i drugie robią z muszlinu, tiulu, koronki lub blondyny, mniéj strojne ubierają po nad czołem wstążką lub aksamitką, strojniejsze aksamitem i kwiatami.

Do strojnego ubrania. bardzo przyjęte w tym roku diademy aksamitne, podniesione nad czołem, na trzy palce, zwężone po bokach podchodzące z tyłu pod warkocz. Jedne z nich splecione są z trzech rulonów inne skręcone z aksamitu, niekiedy naszyte białą lub czarną sieczką, albo stalowemi paciorkami. Z tyłu głowy na kokach powinna być wpięta kokarda z aksamitki tegoż koloru, z pod koków zaś ma spadać druga kokarda z długiemi końcami. Osoby starsze dodają do tego barkę koronkową, lub fanszonik.

Widzieliśmy przygotowane już na wiosnę spódniczki pod suknie, kaszmirowe w kolorze popielatym lub dzikim. Nad obrębem idzie szlak haftowany w palemki w Tureckim rodzaju. Haft ten zowie się *Broderie Orientale.* Można zastąpić haft naszyciem z galoniku czyli taśmy w Tureckim guście, w kolorach zazwyczaj dość żywych. Suknie z krótkiemi paletocikami, w kolorze dzikim haftowane lub naszywane taśmą Turecką, będą zarówno przyjęte.

Młode panienki noszą suknie z alpagi popielatéj, szaréj i koloru czekoladowego obszyte u dołu dwa lub trzy razy kolorową pletnię, szeroką na cal, od każdéj pletni spadają na dół kulki wełniane w tymże samym kolorze. Kaftanik takiż sam ogarnirowany odpowiednio, zaokraglony po bokach, z tyłu dochodzący do stanu, zastępuje miejsce stanika. Taka sukienka popielata z szafirowemi kulkami, bardzo ładnie wygląda.

Biżuterje stalowe bardzo upowszechnione. Noszą zwykle cały garnitur stalowy złożony z klamry, kolczyków, broszy a niekiedy i grzebienia.

Kolczyki kryształowe złożone z dwóch spadających kulek, ogólnie też przyjęte na wieczory.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia *poult de soie* zielona przybrana u dołu szeroką frendzlą Angora, czyli Tybetańską. Nad frendzlą idą grelotki szmuklerskie w kształcie kulek. Paletocik czyli surducik z czasów Ludwika XV czarny aksamitny, przybrany pasmanterją do koła i na wszystkich szwach, naszyty z przodu w drabinkę (*en brandebourg*), klapkami z takiejże pasmanterji. Kapelusz atłasowy z główką tiulową. Rondo tworzy jakby fanszonik atłasowy, z pod niego spada namarszczana główka. Nad czołem biała blondynka, z boku kwiatek pąsowy. Szarfy atłasowe.

Figura 2. Suknia popelinowa koloru niewarowego. U dołu szeroka plisa szafiowa *poult de soie.* Cały przód ubrany jedwabnemi patkami, ogarnirowanemi czarną koronką. Stanik gładki, na nim oznaczony kaftanik plisą szafirową. Pas morowy szeroki, rękawy obcisłe do ręki, kołnierzyk gładki webowy, rękawki pod spód proste męzkie.

Figura 3. *Ubranie trzyletniéj dziewczynki.* Sukienka z alpagi karmazynowéj obłożona białem futerkiem. Staniczek szwajcarski wycięty, z krótkiemi rękawkami. Pod spód koszulka półbatystowa, układana w zakładki, rękawy u niéj srerokie i długie. Włosy przewiązane szafirową aksamitką.

KORRESPONDENCJA.

Żytomierzance. Płótno malarskie półtora łokcia szerokie kosztuje złp. 10. Pięć ćwierci szerokie złp. 7.— Pani Teo. Rokic. Do sprawunków dołożyliśmy złp. 1 gr. 5.—Panu Mikołajowi Kra. Bielizna już wysłaną została. Pani Zofji Kołu. Koronki przesłaliśmy.—Panu Tad. Syrocz. w Jurkowcach. Opiekuna domowego zaprenumerowaliśmy na rok bieżący, pozostało w Redakcji z przesłanych złp. 26 gr. 20, złp. 6 gr. 20 do dyspozycji.— Pani Walen. Szy. żądane numera Tygodnika przesłaliśmy.— Pani Teofi. Rokic. Formę rotondy wraz z bluzką wysłano. Na rotondy powszechnie używana materja *gros grains* po złp. 13 gr. 10, łokci potrzeba 6. Ufarbowanie materji podług przesłanéj próbki na kolor brązowy kosztować będzie złp. 15.—Pani K. Jeni. w Antonówce. złp. 81 gr. 10 odebraliśmy. Książka do nabożeństwa dotychczas niewyszła. Tygodnik zaprenumerowany.— Pani Teofili M. Loczki drobne ułożone w pierścienie kosztują złp. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nru 11 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 6 (18) Marca 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

„Jeżeli Panna Joanna Eyre posiada rzeczywiście nauki wymienione w jéj ogłoszeniu, i jeżeli może przytem złożyć zadowalniające świadectwa co do jéj charakteru i przeszłości, w takim razie zdarza się dla niéj miejsce z obowiązkiem zajęcia się wychowaniem dziecka, mającego niespełna lat dziesięć. Wynagrodzenie będzie wynosić trzydzieści funtów rocznie. Joanna Eyre może przesłać wiadomość o wyżéj wymienionych szczegółach, oraz nazwiska osób mogących za nią zaręczyć, do pani Fairfax, w Thornfield przez Millcote."

Pismo było niekształtne, staroświeckie, widocznie pisane ręką kobiéty podeszłego już wieku. Nie mogłam wymarzyć nic lepszego, i zaraz sobie wyobraziłam postać szanownéj wdowy, całkiem czarno ubranéj, poważnego i nieco zimnego obejścia. Thornfield musiał to być dom stary, może zamek gotycki, co zaś do Millcote, dowiedziałam się niebawem, za pomocą słownika jeograficznego, że mieściły się w niém liczne rękodzielnie, i że było położone nad małą rzeką. Według tych zebranych wiadomości łatwo mi przyszło wyobrazić sobie miasteczko ludne i ożywione, widziałam w niém wyraźnie las wysokich kominów, uwieńczonych kitami ciemnawego dymu, słyszałam gwar różnorodny warsztatów, kół bijących wodę, kujących młotów, zmięszany z turkotem wozów i wrzawą rybaków na wybrzeżu.

Wynadgrodzenie było dostateczne, wyższe w dwójnasób od skromnéj pensyi, jaką pobierałam w Lowood i to mnie usprawiedliwiało z odmiany miejsca, gdyby przełożona sprzeciwiała się mojemu wyjazdowi. Ale o tém nie było nawet mowy, chciałam tylko napisać do pani Reed z zawiadomieniem, jako do osoby przed którą zakład był odpowiedzialny co do mojéj osoby.

Czcigodna ciotka odpisała w kilku słowach, że mogłam sobą rozrządzać według własnéj woli, gdyż jak oświadczała, wyrzekła się wszelkiéj nademną opieki. Otrzymałam zatém, po kilku dniach, urzędowne uwolnienie, oraz świadectwo dobrego i sumiennego sprawowania się w zakładzie. Co do pani Fairfax, ta okazała się zupełnie zadowoloną świadectwami jakie jéj posłałam zaraz po odebraniu odezwy.

Pakowanie rzeczy nie trwało dłużéj jak niegdyś, przy wyjeździe z Gateshed-Hall, gdyż garderoba moja nie o wiele się powiększyła od tego czasu. Tak samo jak wtedy, wsiadłam o czwartéj z rana (było to w październiku), do dyliżansu przechochodzącego przez Lowton, a w szesnaście godzin późniéj, około ósméj wieczorem wysiadłam w Millcote, gdzie znalazłam w oberży wyborny ogień, przy blasku którego przypatrywałam się zawieszonym na ścianach sali wizerunkom Jerzego IIIgo i księcia Walii, oraz sławnemu sztychowi przedstawiającemu śmierć jenerała Wolffa. Niewiem czemu te drobne szczegóły tak wyraźnie się dotąd przechowały w mojéj pamięci, że się mimowolnie cisną pod pióro.

Przepędziwszy około pół godziny na przyglądaniu się tym arcydziełom, pragnąc jak najprędzéj stanąć u celu méj podróży, zadzwoniłam aby się rozpytać o majętność zwaną Thornfield, która miała się znajdować w bliskości Millcote.

— Thornfield? nic o nim nie wiem, odpowiedział mi służący, pójdę się spytać.

Wrócił wkrótce z pośpiechem, pytając czy nie byłam panną Joanną Eyre?

— Właśnie nią jestem, odpowiedziałam.

— Jest tu ktoś co na panią czeka.

Ten ktoś, był to woźnica jednokonnego wózka, który widziałam w dziedzińcu, nie domyślając się wcale, że jest dla mnie przeznaczony. Zabrał on zaraz mój szczupły tłomoczek, potém mnie usadowił, a kiedy się zapytałam jak daleko do Thornfield, zaledwie wybąkał.

— Będzie mil sześć, półtory godziny drogi niespełna.

Ten wstęp zmienił cokolwiek wyobrażenie jakie miałam o pani Fairfax. Bogata wdowa, którą sobie wymarzyłam, powinna była mieć grzeczniejszego stangreta, a powóz bardziéj wykwintny. Oswoiłam się jednak wkrótce z myślą pożycia z poczciwą obywatelką oddaloną od świata, i z dziewczynką, którą wyobraźnia moja przedstawiała sobie miłą i ujmującą.

Przybyliśmy na miejsce w czasie oznaczonym i stanęliśmy wśród gęstéj mgły u wejścia sadzonéj ulicy, któréj bramę otworzył woźnica i z hałasem ją potém zatrzasnął. Wkrótce, wózek się zatrzy-

stanał przed drzwiami dosyć wielkiego budynku, w którym jedno tylko okno było oświetlone. Na sprawiony turkot wyszła służąca drzwi otworzyć i zaprowadziła mnie przez obszerną sień mającą cztery wyjścia, do małego pokoju bawialnego, żywo oświetlonego blaskiem kilku świec i ognia palącego się wesoło na kominie.

Tam, przedstawiła się oczom moim pani Fairfax, siedziała przed stolikiem w dużém krześle staroświeckiego kształtu, prawie podobna do postaci w jakiéj ją sobie wyobraziłam. Była to mała staruszka bardzo schludna, ubrana w suknię jedwabną czarną, czepiec wdowi i fartuszek z białego muślinu. Robiła pończochę z wielkiém zajęciem, w nogach leżał duży kot, zwinięty w kłębek na miękkiéj poduszce.

Widok jéj, najprzyjemniejsze wywarł na mnie wrażenie, i nic nie mogło mi lepiéj podobać się, jak ten łagodny i spokojny obraz czysto Angielskiego domowego pożycia. Uczułam się od razu zupełnie swobodną, i pijąc herbatę ofiarowaną mi przez moją nową panią z grzecznością nader uprzedzającą, zapytałam czy będę miała przyjemność poznać zaraz pannę Fairfax?

— Jak powiadasz, moję dziecię? mam słuch nieco tępy, rzekła poczciwa staruszka.

Powtórzyłam wyraźniéj i głośniéj moje zapytanie.

— Pannę Fairfax? a rozumiem, chcesz mówić o pannie Varent. Tak się nazywa twoja przyszła uczennica.

— Więc ona nie jest.... pani córką? zapytałam nieco zmięszana.

— Moją córką? nie, ja niemam dzieci.

Zaprawdę odpowiedź ta niezmiernie zaciekawiła mnie, ale wprędce pomiarkowałam że nie była to chwila stósowna do dalszych zapytań. Rozmowa wzięła więc inny obrót.

Pani Fairfax dała mi poznać że moje przybycie cieszyło ją niezmiernie, a to mianowicie z tego powodu, że w tym zamku zamieszkałym tylko przez służących, dręczona była często napadami okropnéj nudy, zwłaszcza że nieposiada żadnych środków mogących rozerwać osobę wyższego ukształcenia.

Chociaż nie bardzo umiałam pojąć dla czego pani Fairfax skazywała się dobrowolnie na życie, w którém zdawała się znajdować tak mało upodobania, czułam jednak że pociągała ku sobie szczerością z jaką się przedemną wynurzała, i dlatego zbliżyłyśmy się dosyć z sobą od tego piérwszego poznania.

Nazajutrz, obudziwszy się bardzo wcześnie, zajęłam się ubraniem, dokładając wszelkich starań aby sprawić jak najmniéj niekorzystne wrażenie na przyszłéj uczennicy.

Potém wyszłam, korzystając z pięknego jesiennego poranku, na trawnik jeszcze zielony rozciągający się przed oknami mojego nowego pomieszkania.

Thornfield nie był pańską rezydencyą, lecz zamożną najmniéj stuletnią szlachecką siedzibą. Stara facyata domu odkreślała się wydatnie na ciemném tle gęstego lasku, w którym polatywały liczne stada hałaśliwych sójek. Od czasu do czasu, zrywały się gromadnie te wrzaskliwe ptaki i spadały potém na obszerną łąkę oddzieloną od dziedzińca rzędem drzew ciernistych, rosnących karłowato i gęsto z sobą splecionych.

— Thornfield, pomyślałam, znaczy pole cierniowe, zapewne to te drzewa dały mu odpowiednią nazwę.

Oddawałam się jeszcze z upodobaniem miłemu wrażeniu porannéj przechadzki, w miejscu jeszcze mi nowém, kiedy ujrzałam przed sobą panią Fairfax, która się dziwiła widząc mię już ubraną.

— Jakże ci się podoba Thornfield? zapytała z uprzejmością.

— Niezmiernie odpowiedziałam.

— Nie źle wygląda, doprawdy, rzekła znowu pani Fairfax, ale dom zniszczy się wkrótce, jeżeli pan Rochester nie zechce zamieszkać tu przez czas jakiś, lub przynajmniéj częściéj nas odwiedzać. Obecność właściciela jest konieczną dla znaczniéjszych majętności.

— Pan Rochester? zawołałam o kimże pani mówisz?

— O właścicielu Thornfieldu, odpowiedziała, czyż nie wiesz że takie jest jego nazwisko?

— Bynajmniéj, sądziłam że Thornfield do pani należy.

— Do mnie? moje dziecko, zkądże ci przyszła ta myśl dziwaczna? Do mnie? Ja tu jestem tylko zarządzającą, po prostu klucznicą. Jestem w prawdzie przez męża nieco z pokrewnioną z rodziną Rochesterów, gdyż matka dzisiejszego pana tutejszego była z domu Fairfax, ale nieprzechwalam się tą kolligacyą i żyję tu jako podwładna, a ponieważ pan Rochester zachowuje w swych stosunkach ze mną wszelkie należne mi względy, nie mam prawa żądać niczego więcéj.

— A ta mała dziewczynka..,. moja przyszła uczennica?

— Jest to wychowanica pana Rochester, który mi polecił wyszukać dla niéj nauczycielkę. Ale otóż nadchodzi właśnie ze swoją boną, zaraz się więc poznacie.

Adela Varent wychodziła w téj chwili z sąsiedniego lasku. Była to wątła dziecina mogąca mieć lat siedm lub ośm, z bladą lecz pociągającą twarzyczką w około któréj spływały niezmiernie gęste włosy.

Miałam w oczach Adeli i jéj bony francuzkiéj, tę wielką zaletę, że znałam ich rodzinną mowę. Adela była bowiem urodzona we Francyi, z matki francuzki, o ile się mogłam domyślać, i odebrała wychowanie cudzoziemskie, które przedwcześnie rozwinęło jéj umysł dosyć bystry z natury. Niebawem zaznajomiła się ze mną, a chcąc się pochwalić ze swą umiejętnością, zaśpiewała czułą aryę francuzką, wydeklamowała wybornie bajkę Lafontena i chciala jeszcze rozpocząć jakiś taniec hiszpański, kiedy odgłos dzwonka wzywającego na śniadanie przerwał, bardzo w porę, owe wystąpienia maléj pieszczotki.

Po śniadaniu, pani Fairfax, chcąc się pochwalić swojem gospodarstwem, postanowiła oprowadzić mnie po wszystkich częściach domu, kiedyśmy weszły do bawialnego pokoju spostrzegłam ze zdziwieniem że wszystko w niém było w gotowości, jakby na przyjęcie tego samego wieczoru kilkudziesięciu osób. Nie było ani zdźbła pyłu na meblach, drzewo było nałożone w kominku, a w bogatym sąsiednim gabinecie, wybitym białą materyą, z przepysznym kominkiem z białego marmuru i wytwornemi sztukateryami, kobierce były już nawet porozściełane.

Skoro wyraziłam zdziwienie z tego powodu, pani Fairfax powiedziała że się stosuje w tym względzie do upodobań swego pana, który rad zastać zawsze w domu wszystko w porządku. Zwykł bowiem przybywać całkiem niespodzianie, ale na dalsze zapytania względem charakteru i nawyknień pana Rochester, nie chciała wcale odpowiadać, ograniczając się na zapewnieniu, że to był prawdziwy *gentleman*, choć może człowiek nieco oryginalny. Jakkolwiek zaciekawiona temi kilku słowami musiałam jednak na nich poprzestać, pani Fairfax, bowiem, jakby chcąc przerwać rozmowę, pociągnęła mnie na płaski dach zamku, z kąd obiecywała pokazać piękny bardzo widok. Zanim doszłyśmy do wązkich schodków prowadzących na ganek, wypadło przejść długi szereg obszernych i milczących komnat, których wypłowiałe meble staroświeckie obicia i chłodne powietrze przypominały mimowolnie rozmaite podania o duchach i strachach.

W saméj rzeczy, z dachu, widok był prześliczny, i z tamtąd dopiéro ogarnąć zdołałam całą rozległość téj pięknéj majętności. [którą tak mało umiał cenić jéj niewdzięczny właściciel.

Kiedyśmy już na dół schodziły, a pani Fairfax się opóźniała, zajęta zamykaniem klapy przez którą było wyjście na dach, puściłam się sama w długi i ciemny korytarz, ciągnący się pod strychem pomiędzy dwoma rzędami zamkniętych składów. W tém, głębokie milczenie, które tam panowało, przerwał z nagła ku największemu mojemu zdziwieniu, śmiech głośny, zdający się wychodzić z jednéj z izb sąsiednich.

Był to śmiech szczególnego rodzaju, urywany, niewyrażający bynajmniéj wesołości. Wzmacniał się on stopniowo i po kilku donośnych i przenikliwych dźwiękach, rozpływał się w dziwne jakieś szemranie, dzikie, przerażające....

— Pani Fairfax! zawołałam do nadchodzącéj towarzyszki, czy słyszałaś ten śmiech?

— Zapewne, który ze służących, odpowiedziala obojętnie.

— Ale czy słyszałaś? zapytałam powtórnie zwolna pozbywając sie doznanéj trwogi.

— Słyszałam, i słyszę to nieraz. Musi to być Gracya Poole, która tu przychodzi na robotę.

Nowy wybuch śmiechu dał się słyszéć i zadrżałam znów tuląc się mimowoli do méj towarzyszki.

— Gracyo! zawołała pani Fairfax. Imie, to wcale jakoś nie przystawało do owego śmiechu. Jednakże drzwi otworzyły się zaraz i ukazała się na progu trzydziesto letnia kobiéta, silnie zbudowana, przerażającéj szpetności, z twarzą czerwoną i włosami tego samego koloru, słowém, jak można sobie tylko wyobrazić cóś najbardziéj sprzecznego z poetyczném imieniem Gracyi.

— Gracyo, rzekła sucho pani Fairfax, coś tu u was za głośno... wiesz przecie dobrze jaki twój obowiązek...

Gracya Poole skłoniła się w milczeniu i weszła napowrót do swego pokoju.

Pani Fairfax widocznie unikała bliższych objaśnień, śmiech więc tak okropny, został dla mnie tajemniczą zagadką, bez rozwiązania.

IV.

Gdyby sama spokojność wystarczała do szczęścia, czegóż by mi brakło w Thornfield?

Moja uczennica, miła i pieszczotliwa dziecina, dosyć przytem pojętna, szukała tylko sposobów przypodobania się, pani Fairfax, zawsze łagodna i uprzedzająca, przywiązywała się do mnie coraz więcéj, od sług nawet, nie doznawałam nigdy najmniejszéj przykrości. A jednak, bywały tam okropne godziny... Brakło mi... większéj i mozolniej-

széj pracy, owéj pełni życia, tyle dla mnie potrzebnéj.

Minęły zwolna miesiące jesienne, mijał już i styczeń. Pewnego poranku, Adela cierpiąca na ból głowy, wyprosiła się od lekcyi, miałam tedy kilka godzin swobody. Tegoż dnia, po południu, pani Fairfax skończywszy pisać jakiś list dosyć pilny, zabierała się odesłać go na pocztę. Spojrzałam na drogę osuszoną od przymrozku, na rozpogodzone niebo, na drzewa przystrojone szronem, i zapragnęłam zastąpić służącego w téj wycieczce. Nie było więcéj jak dwie mile drogi do miasteczka, miałam tedy przed sobą najmilszą przechadzkę.

Ten tylko kto był przez długi czas zamknięty, umié upatrzyć w przyrodzie ów silny urok, który w niéj odkrywają malarze znakomici i prawdziwi poeci. Jakże czarowny zdał mi się widok, który się roztoczył przed memi oczami w chwili kiedy zegar wybijał trzecią godzinę na wieży miasteczka. Niebo już poczynało blednąć, słońce schylało się z wolna ku zachodowi. Byłam na rozległéj równinie sławnéj w lecie z róż dzikich, w jesieni z morw i orzechów. Jagody tarniny i głogu stroiły ją tu i owdzie, jakby wiankami z korali, ale najwyższym jéj urokiem była dla mnie głęboka cisza panująca do koła. Wiatr przebiegał po szerokiéj równinie, nie budząc szmeru żadnego, leszczyny i głogi ogołocone z liści zostawały nieruchome pod lekkim jego tchnieniem jak i białe kamyki porozrzucane tu i owdzie po drodze. Po obu stronach, ciągnęły się obszerne i opustoszałe łąki, po nad któremi polatywały tylko czasem drobne ptaszęta, niby suche listki zapomniane od wiatru jesieni.

Cały ten krajobraz był może bardzo powszedni, a jednak rozpatrując się w nim, uczułam rodzaj dziwnego jakiegoś zachwytu. Zapomniałam o chłodzie, o celu mojéj wycieczki, o nadchodzącéj nocy, i otuliwszy się płaszczykiem, schowawszy ręce w zarękawek, usiadłam na drewnianéj przegrodzie oddzielającéj pole od łąki. Byłam dopiéro na pół drogi od miasteczka do którego się wybrałam, po za drzew zasłoną spostrzegłam kłęby dymu, wznoszące się z jego dachów i lekki szmer zapowiadający ruch i życie, dochodził już pośród głębokiéj ciszy, która mnie otaczała. Z tyłu, w dolinie, spostrzegłam Thornfield jego szare blanki i ciemne gaje z gwarem rozlicznego ptastwa, i tak się w tén piękny obraz w patrzyłam, że dopiéro kiedy słońce zapadło po za mury zamku, pomyślałam o dalszéj podróży, przysłuchując się z upodobaniem lekkim szmerom, płynącym gdzieś w dalekie przestrzenie...

W tém z nagła przerwał zadumę jakiś tentent rozbijający swém twardem uderzeniem tęschne dźwięki, w które się wsłuchiwałam. Był to wyraźnie szybki bieg konia, zbliżającego się coraz więcéj, lecz kręte załomy drogi nie dozwalały mi widziéć go jeszcze.

Kiedy stanęłam po nad drogą, aby podróżny mógł się ze mną rozminąć, usłyszałam z nagła, tuż obok siebie inny jakiś hałas, a gdy się zwróciłam przerażona w stronę z któréj pochodził, ujrzałam przeciskającego się przez gałęzie zarośli ogromnego psa pstrokatego, który przebiegł koło mnie a za nim zaraz ukazał się jeździec na koniu. Zaledwie się ze mną rozminął i ja już ruszyłam w dalszą drogę, kiedy usłyszałam za sobą jakby silny łoskot upadku a potém wykrzyk.

— To lubię! cóż teraz robić u djabła?

Spojrzałam... koń leżał wraz z jeźdźcem na drodze.

Pies zaraz powrócił szczekając na wiatr niespokojnie, i zbliżając się niekiedy ku mnie jakby z prośbą o pomoc w tém nieszczęśliwém zdarzeniu. Nie podobna mi było okazać się obojętną w miejscu tak bezludném, zbliżyłam się więc do nieznajomego podczas kiedy z trudnością wydobywał się z pod konia i zapytałam czy się nie skaleczył, padając? Ale nie dosłyszałam jego odpowiedzi, tylko z tonu mowy poznałam, że więcéj zły był jak cierpiący.

— Czy mogłabym być w czém panu pomocną? dodałam niezrażając się tą dziwną niegrzecznością.

— Mogłabyś sobie iść w swoją stronę moja pani, odpowiedział, szorstko nieznajomy, podnosząc się na kolanach, a potém dźwigając się na nogi.

Cofnęłam się w milczeniu, a podróżny począł usilnie pracować nad dźwignięciem konia. Udało mu się to nareszcie, potém kazał być cicho psu, zawoławszy nań groźnie.

— Do nogi, Sternik! wreszcie zabrał się do oglądania nogi, jakby dla upewnienia się czy była w całości. Musiał jednak znaleść jakieś uszkodzenie, bo zamiast wsiąść na konia, usiadł na przegrodzie, którą opuściłam przed chwilą. Sprobowałam wtedy ofiarować raz jeszcze moje usługi.

— Jeżeli pan potrzebuje pomocy rzekłam, mogę ją zaraz tu przysłać, bądź z Hay, bądź z Thornfield.

— Dziękuję pani, dam sobie sam radę, nic nie mam złamanego, zdaje mi się żem tylko wywichnął nogę, mała to rzecz.

(Dalszy ciąg nastąpi).